

DESZCZ niesiony porywistym, jesien-
nym wiatrem zaczął w szyby cię-
żarówkę toczącą się autostradą.
Światła z trudem przebiły ciem-
ność, ale mimo to można było od-
czytać wielkie i jaskrawe napisy
na bokach samochodu: Warsztaty i
Garaże Gus-Wilson — pogotowie te-
chniczne. Za kierownicą siedział wła-
ściciel reklamowanej firmy. Wracał
właśnie po usunięciu jakichś dro-
gnych uszkodzeń, które na drodze
zatrzymały samochód naładowany
całą rodziną jadącą na weekend.
Przeciętny Amerykanin zupełnie nie orien-
tuje się w zawiłych szczegółach technicz-
nych swego „zjadacza przestrzeni”, wy-
starczy mu najzupełniej umiejętność pro-
wadzenia samochodu. A jeżeli cokolwiek
nawali, to przecież niemal wszędzie są te-
lefony i po paru minutach przyjeździe po-
gotowie wezwane z najbliższego garażu.

Nagle w odległości niewiele metrów przed
wozem Gusa zajaśniało światło ręcznej la-
tarki. Ktoś stał na środku drogi. Gus
gwałtownie nacisnął hamulec i gdy wóz
stanął otworzył drzwi. Osobnik z latarką
stał obok samochodu, Gus nie mógł go do-
strzec, ośleplony światłem skierowanym
prosto w oczy.

— Prędko, posuń się! — padł twardy roz-
kaz z ciemności. Nieznajomy gwałtownie
szarpnął drzwi, otwierając je szeroko. Gdy
zniżył latarkę, promień światła padł na du-
ży pistolet automatyczny, trzymany w rę-
ku przez nieznajomego. Nie było czasu do
namysłu, strzelające argumenty były zbyt
przekonywujące, by je lekceważyć. Bez sło-
wa więc Gus odsunął się w koniec kabi-
ny. Nieznajomy skoczył za kierownicę,
wetknął latarkę do kieszeni, pistolet zaś
ukrył gdzieś pod pachą. Gangsterzy często
stosują ten sposób noszenia pistoletów.

Ruszyli, nieznajomy przez cały czas ob-
serwował więźnia kątem oka.

— Nie próbuj tylko jakichś kawałów —
ostrzegł — przyzwyczajaj się do szyb-
kiego używania pistoletu.

Gus wruszył ramionami i nic nie odpo-
wiedział. Przejechali kilka kilometrów w
zupełnym milczeniu. Wreszcie przerwał je
nieznajomy:

— Potrzebny nam jest mechanik. Ma-
my nawalony wóz, a że widzieliśmy twoje
pogotowie, jadące w tamtą stronę, posta-
nowiliśmy skorzystać z usług, gdy będziesz
wracał.

— Dość oryginalne zaproszenie, z bronią
— zauważył cierpko Gus. — I po co było
odrzucać grozić i tak naprawiłbym uszkodze-
nie, a może nie wiedziałbym z kim mam do
czynienia.

— Nie poznać nas, chyba żartujesz! Prze-
cież od paru dni wszystkie gazety i tele-
wizja zamieszcza nasze podobizny.

Gus odwrócił się do bandyty i po raz
pierwszy przyjrzał mu się dokładnie. W
ciemnej kabinie oświetlonej tylko świa-
tłem odbijającym się od szosy nie było to
łatwe. Przypominał sobie jednak listy goń-
cze, jakie nie schodziły ze szpał gazet w
ostatnich dniach.

— Masz rację, dwóch bandytów poszuku-
ją za morderstwo, zdaje się, że ostatnio
był to kasjer w jakimś banku? Ty jesteś
tym wyższym, wzrost 1.81 m, włosy blond...
nazywasz się Slade!

— No widzisz — uśmiech rozjaśnił twarz
bandyty. Widocznie nawet tak makabrycz-
na i niepożądana popularność mile leża-
ła jego miłośności własną.

Skreślił z autostrady na polną drogę i
po chwili wjechali do lasu. W światłach
reflektorów Gus ujrzał niebieski samochód
osobowy, stojący na polanie. Wskoczył z
niego drugi bandyta. Zaraz, jak on się
nazywa? Aha, Bascom, Sidney Bascom —
trzy morderstwa.

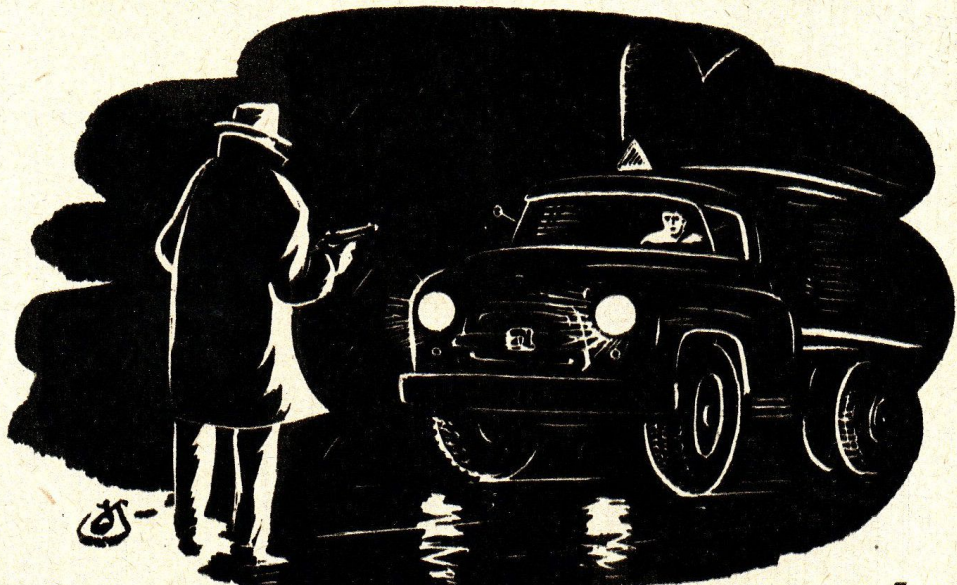
— Zgas światła idioto, — darł się Bas-
com. — Chcesz ściągnąć na kark całą oko-
licę.

Podszedł do ciężarówki właśnie, gdy Gus
stanął na ziemi — popatrzył mu w oczy.
Gusa ogarnął paniczny strach, był prze-
cież tak osamotniony, a od tych ludzi nie
można było oczekiwać żadnej litości.

— Dalej jechać — rzucił Bascom, — mamy
nawalone światła, gdyby nie to, byłiby-
śmy już daleko i bezpiecznie. Masz je
naprawić i to szybko.

— Daleko, to może, ale czy bezpiecznie?
Przecież policja jest zaalarmowana i pa-
troluje wszystkie drogi. Gus powoli odzy-
skiwał panowanie nad sobą i nie mógł
powstrzymać się od tej uwagi.

Jim O'Fanagan



noc na autostradzie

lometrów widać, co się świeci. Zawsze
można zawrócić.

— Dostę gadania — zawarczał Bascom. —
Rób światło, tylko bez żadnych sztuczek,
bo... — tu pogroził znacząco automatem.
Sam tej cholerniej elektryki nie naprawię,
ale orientuję się trochę, ile to może trwać
i gdzie można grzebać. Także nie próbuj
coś popsuć.

Gus wyciągnął z ciężarówki torbę narzę-
dziową i podszedł do samochodu bandy-
tów. Wóz wyglądał niepozornie. Tani typ,
jakich — miliony na drogach USA. Ale
wystarczyło jedno spojrzenie pod maskę,
by stwierdzić, że nie jest to taki zwykły
samochód. Potężny, ośmiocylindrowy silnik
najnowszego typu wypełniał całą przestrze-
zeń pod maską. Sprężarka — tak, to coś
ma co najmniej 400 KM. Zastanawiał się
Gus. Tym można uciekać...

Usiadł za kierownicą obserwowany przez
dwie pary czujnych oczu, wyciągnął wyłąc-
znik światła — nie zapaliły się. Położył
się teraz plecami na siedzeniu wsuwając
głowę pod deskę czołową. Po chwili wysu-
nął się, wyjął z torby śrubokręt i obczął-
ki. Znow wsunął głowę pod deskę, grzebał
parę minut, po czym ręką namacał wyłącz-
nik. Pociągnął, dwa ostre snopy światła
przebiły ciemność. Stojący obok Bascom
natychmiast zgasił je pozostawiając tylko
postojowe.

— Dawaj sznur Sid — rzucił do towarzy-
sza obchodząc wóz wokół. Nagle zatrzy-
mał się, odwrócił, jak błyskawica rzucił
się na Gusa.

— Ty psie... — ryczał okładając go pię-
ściami. — Tylnie światła, wyłączyleś tylne
światła. Chcesz, by każdy policjant zwró-
cił uwagę na nasz wóz!

— Zostaw — krzyknął Slade odpychając
rozwiściekzonego bandytę.

— No, co ze światłami? — zapytał spo-
kojnie.

— Jest zwarcie na przewodzie tylnych
światła, musiałem je odłączyć, inaczej
znow wszystko nawaliłoby.

— Światła musimy mieć — ruszaj do ro-
boty — rozkazał Slade.

— To może trwać bardzo długo — za-
oponował Gus.

— Nie wiadomo, gdzie jest uszkodzenie,
muszę zrywać całą tapicerkę. Najlepiej
byłoby przeciągnąć nowy przewidywany
przewód i odłączyć stary. Tylko kilka mi-
nut pracy.

Bandyci porozumieli się wzrokiem.

— Dobrze, rób.

Gus wyciągnął z ciężarówki kłębek kab-
la, wsunął się pod deskę, coś dłużej przy
wyłącznikach, potem położył się na zie-
mi i na czworakach wszedł pod wóz. Po
kilku minutach głowa Gusa ukazała się z
tyłu wozu.

— Gotowe. — powiedział.

Tym razem Bascom sam zapalił światła
i obejrzał wszystko dokładnie. Uśmiech
rozjaśnił jego twarz. Widać, że każda mi-
nuta oczekiwaną ciężką mu bardzo.

— Doskonale, ale teraz musimy cię zwi-
zać — zawołał wesoło.

— Ależ w tym lesie mogą czekać diabli
wiedzą, ile czasu, zanim ktoś mnie znajdzie
— próbował oponować Gus. — Jestem cały
mokry. Przy takim zimnie zapalenie płuc
murwana.

— Szlag cię nie trafi — filozoficznie
stwierdził Slade, krepując go mocno linką.
— Położymy cię zresztą w szoferce, żebyś
zanim się zmarzył.

Gus słyszał uruchamiany silnik i na
szczytach drzew widział oddalającą się po-
swiatłą reflektorów. Bandyci odjechali by
dalej mordować. Odjechali... bo im uiałwil
ucieczkę.

Czas płynnie niesłyszalnie wolno. Gus
nie może dostrzec zegarka. Która to może
być godzina? Zresztą, czy to ważne i tak
nikt teraz nie będzie go szukał. Dopiero
rano zaniepokoją się w warsztacie, dia-
czego szef nie wrócił. Policję zawiadomią
chyba nie wcześniej, niż po południu. E,
nie warto myśleć. Ma kupę godzin do cze-
kania.

Chyba zdrzemnął się. Obudził go ostry
ból wrzynających się w ciało sznurów.
Ale, czy tylko ból? Na drzewach zauwa-
żył błyskające światło, po chwili zaś
usłyszał zbliżający się samochód. Już za-
trzymał się na polanie.

— Gus, gdzie jesteś? — odezwał się zna-
jomy głos policjanta Jerry Corcorana.

— Tutaj w wodzie.

Po chwili Gus prostował już zbolale cia-
ło uwolnione z więzów kilkoma ciętami
noża.

— Złapałimy ich, powiedzieli, gdzie cie-
bie szukać — trąkali Corcoran. — Sami
wpadli nam w ręce. Wyobraź sobie, że
gdy zauważyli nasz patrol usiłowali za-
wrócić, ale wtedy nawalił im wóz. Zgasł
i koniec. Nawet później nie mogliśmy go
uruchomić.

— A więc udało się! — wykrzyknął Gus
z radością. — Jednak ich wykiwałem!

Corcoran spojrzał, nic nie rozumiejąc.

— Widzisz — powiedział Gus — Musiałem
jakoś utrudnić im ucieczkę. Nie mogłem
popsuć wozu tak, by nie ruszyli z miejsca,
ale można było zrobić coś innego. Napra-
wiając wyłącznik przeciąłem przewód tyl-
nych światła, a potem wymyśliłem bajecz-
kę o konieczności przeprowadzenia prowi-
zorycznego przewodu...

— No, dobrze, ale po co? — zdziwił się
Corcoran.

— Musiałem dostać się pod wóz, trzeba
więc było jakiegoś pretekstu. Wiesz, że
przy włączeniu wstecznego biegu, z tyłu
wozu zapala się białe światło. Połączyłem
więc przewód od cewki zapłonowej z tym
wyłącznikiem tak, że przy włączeniu
wstecznego biegu następowało zwarcie. Nie
ma iskry — nie ma jazdy. Wiedziałem,
że gdy zauważą patrol, będą usiłowali za-
wrócić.

Corcoran stał chwilę bez słowa, poczem
przycisnął Gusa do piersi.

— Niech cię stary — krzyczał. — Dobra
robot!

Gus syknął z bólu, kilka godzin skrepo-
wania sznurami nie pozostało bez śladu...
(Tłum. M. W.)